

Stavros

(historia nr 1.11 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Przesłuchanie

Ręce Erina lewitowały w powietrzu, przywiązane do poręczy krzesła linką, która pozwalała mu unieść przedramiona na wysokość dziesięciu centymetrów lub położyć je swobodnie. Tyle tylko, że oparcia parzyły, a powietrze nad nimi przecinał niewidzialny laser zdolny zmienić skórę w popiół. To było autorskie narzędzie tortur Aldona, zaprojektowane tak, żeby wykorzystać słabość przesłuchiwanego przeciwko niemu. Dyskomfort zawieszonych w niewygodnej pozycji kończyn w kombinacji ze zdenerwowaniem w końcu doprowadzał chwilą nieuwagi do błędu. Napędzane odruchami naprzemienne poparzenia pomnożone przez liczbę rąk ofiary dawały oficerowi niemałą satysfakcję.

Fakt, że przed chwilą Erin trzymał w objęciach umierającą osobę, nie pomagał mu utrzymywać nieruchomo w powietrzu dłoni. Siedział zamknięty w pokoju numer sto jeden na parterze hali, w której powstawał okręt flagowy Floty, duma Zjednoczonych Narodów, ostrze i tarcza ludzkości SS „Santlite 75”. Przez ostatnie parę lat stracił trochę białych włosów, zmarszczki spłynęły mu rzekami po twarzy, wysuszając skórę, a jego spojrzenie spowijał mrok bezksiężycowej nocy. Był na skraju wybuchu niekontrolowanej złości. Oddychał ciężko, zaciskał zęby, pocił się i napinał mięśnie zawieszonych rąk, wciąż zapętając w myślach moment, w którym zginął jego przyjaciel, a cicha robotnicza rewolucja spłonęła w nagłej eksplozji.

Przez uchylone na chwilę drzwi, do stęchliżną śmierdzącego pokoju wpadł hałas siłą dławionych protestów. Przyszedł podpułkownik Wasiv Aldon, a razem z nim pojawiła się aura obrzydliwej zbrodni, która jak zapach zabójczego gazu wzmogła czujność Erina. Ubrany w galowy mundur sił DARPA, oficer przywitał więzionego zarządcę uśmiechem i usiadł naprzeciwko w czystym skórzanym fotelu kremowej barwy. Jak zwykle, mimo krwawo karanej za drzwiami rewolucji, był idealnie ogolony, schludny i z włosami poskromionymi w gładką fryzurę.

– I po co było kłamać – rozpoczął moralizatorskie przemówienie Aldon. – Gdybyście od razu przyznali się do tego zabójstwa, nikomu nic by się nie stało, a tak Stavros uciekł, zatoka stoi zalana krwią, a ty siedzisz tu z napęczniałą miną.

– Nikogo nie zabiliśmy – odpowiedział Erin skoncentrowany na swoich dłoniach.

– Ty nie. Za stary jesteś, żeby tak okrutnie zasztyletować doświadczonego żołnierza, ale Stavros i jego koledzy.

– To nie on.

– Nie on? – zdziwił się Aldon. – Jak nie on, to po co uciekał?

– Uciekł, bo chcieliście go rozstrzelać.

– A tam zaraz rozstrzelać. Tak traktujemy tylko zwierzęta w hali, słyszysz je? – zapytał oficer, nastawiając ucha w kierunku forsowanych wrzaskami drzwi. Kolejni robotnicy byli właśnie przykładowie karani.

– To ludzie! – krzyknął Erin, opuszką palca wskazującego dotykając rozżarzonej powierzchni poręczy.

– To ludzie – powtórzył po nim Aldon i zamilkł. Dźwięk rozpaczliwych jęków zdewaluował za niego wartość człowieka. – To niewolnicy, którzy budują dla ciebie najwspanialszy na świecie okręt – dodał patetycznie.

– Nie dla mnie, tylko dla waszej korporacji.

– Dla ludzkości! – zawołał oficer, przedrzeźniając go. – Nic nie rozumiesz – stwierdził chwilę później, tracąc nastrój do żartów. – Ci ludzie, których tak poważasz, to narzędzia, to środki do osiągnięcia celu. Gdy wykonają swoją pracę, staną się dla nas zbędni – powiedział, zakładając nogę na nogę, odchylony wygodnie w fotelu. – Za długo ludzie pokładali wiarę w to, że są najwyższym dobrem świata, że nic nad nimi nie stoi, że wszystko zostało stworzone dla nich. Skąpani w luksusach bezsensownej produkcji i niepohamowanej konsumpcji utknęli w tym szaleńczym kręgu tworzenia i niszczenia. Byli nim oślepiani przez tyle lat, że teraz trudno im wrócić na swoje miejsce w skorygowanym łańcuchu pokarmowym społeczeństwa. Wiesz, że taki istnieje? – zapytał Erina oficer,

ale nie mając nadziei na odpowiedź, ciągnął swój wywód. – Istnieje, choć przez długi czas był zachwiany masami pożerającymi wybitne postacie. To bardzo ciekawe zjawisko, wiesz, bo pokazuje, że w zachowaniu stadnym człowieka funkcjonuje siła zmierzająca ku zatrzymaniu wszelkich zmian, i jest to działanie całkowicie wykluczone ze świadomości jednostki. To fascynujące, że żaden przeciętny człowiek nigdy nie skrytykuje rozwoju jako takiego, choć cały czas będzie dążyć do likwidacji wszelkich odstępstw od normalności, a przecież tylko dzięki nim można zapoczątkować rozwój. Nadażasz? – znów zapytał Aldon, ale nie zdołał oderwać uwagi Erina od lewitujących nad poręczami krzesła rąk. – No tak, to skomplikowane. W każdym razie rozwój zawsze był domeną ludzi inteligentnych, którzy u władzy potrafili budować doskonałe społeczeństwa z zachowaniem właściwej hierarchii, ale niestety potem przyszła demokracja. Co za debilny pomysł, żeby dzielić władzę pomiędzy istoty tak ograniczone, że zrozumienie różnicy między popytem a podażą graniczy u nich z cudem. Jak takie biedne stworzenia, pozbawione jakiegokolwiek wiedzy na temat podziału władzy, międzynarodowych stosunków czy też podstaw paradygmatów makroekonomicznych mają decydować o sprawach państwowych? Przecież ci prości ludzie mieli problemy z rozliczaniem się za zakupy w sklepie! Żadna forma dzielenia władzy nie ma sensu, dopóki dzieli się ją pomiędzy małpy w zoo, no ale to temat na inną dyskusję – podsumował, przez chwilę karmiąc głównego zarządcę nadzieją na szybki koniec tortur. – Wracając jednak do kwestii ludzi pracujących w hali – wznowił monolog Aldon, przyglądając się uważnie dłoniom swojej ofiary, jakby czekał na moment, gdy zmęczone opadną na rozgrzany metal i zaskwierczą wspaniałą dla niego melodią. – Myślę, że budowa tego okrętu to dla nich szansa na zapisanie się w historii nie lada wyczynem. Myślę nawet, że po cichu spełniają tak swoje marzenia, bo tak naprawdę, co innego mogliby teraz robić na tej umierającej planecie? Pisać książki, komu? Malować obrazki, grać? Prowadzić badania bez żadnej edukacji, wiedzy, nawet zdolności płynnej komunikacji? Powiem więcej! – nakręcał się przemyśleniami Aldon. – Myślę, że Kryzys Słoneczny był dla nich swego rodzaju wybawieniem, wiesz, ocaleniem z bezpłodnej egzystencji skoncentrowanej wokół mechanicznej konsumpcji dóbr, kumulowania bogactw, szukania poklasku i bezmyślnego podążania za stadem, którym kierował marketing. Marketing! – podkreślił, dostrzegając nawet najmniejsze drżenie zdrętwiałych palców Erina i reagując na nie wyszczerzonymi zębami. – Cóż to za przekleństwo było, rozdmuchane do takich rozmiarów, że ludzie kupowali reklamę zamiast produktu, ale to też temat na inną rozmowę. W każdym razie świat przed rokiem 2112 to było jakieś nieporozumienie.

– Skąd wiesz, jak było przed 2112, skoro wtedy nosiłeś jeszcze pieluchy? – zapytał Erin i zrównał się z nim wzrokiem, po raz pierwszy pozostawiając dłonie bez kontroli oczu.

W odpowiedzi Aldon pokazał wyszczerzone wilcze kły w uśmiechu, który jak cięta rana krwawił urażoną dumą. Potem wziął głęboki oddech, by odzyskać posturę, i pokiwał głową pod wrażeniem odwagi głównego zarządcy.

– Oglądałem materiały z tego okresu – tłumaczył bez zająknięcia. Jego głos, jak zawsze, skakał po całej naturę mu danej tonacji, nadając wypowiedzi muzyczne brzmienie kontrastujące z docierającymi zza drzwi jękami. – Puszczali nam tego sporo w szkole oficerskiej i jeden film szczególnie mocno zapadł mi w pamięci – chwalił się wykształceniem. – Jakiś uniwersytet robił ankietę wśród przypadkowych ludzi na ulicy. Nie pamiętam jaki ani gdzie dokładnie, ale zadawali ludziom pytanie o to, gdzie mieszkają. Pytali o dokładny adres, ulicę, numer, oczywiście rzeczy i wiesz, co się okazało? – zapytał z nadzieją, że tym razem zainteresuje przywiązanego do krzesła rozmówcę. – Nikt, kurwa, nie wiedział gdzie mieszka! – krzyknął i wyskoczył z fotela, chodząc po brudnej sali, ewidentnie rozgoryczony. – Ludzie byli tak uzależnieni od technologii, że nikt już nie kojarzył swojego adresu! Ciekawe co ci idioci robili w dniu awarii, jak wszystkie satelity nawigacyjne padły. Ci, co byli poza domem, pewnie umierali na ulicach! – szydził z obrzydzonej mu wybiórczymi materiałami epoki i wciąż zerkał na Erina okiem mechanika, który nie potrafi dojść do tego, dlaczego jego auto nie odpala. Stał przed nim zamyślony i mówił dalej. – Ludzie osiągnęli poziom totalnej ignorancji. Wyposażeni przez naturę w najpotężniejszą broń: rozum świadomie decydowali się z niego nie korzystać. Tak było im łatwiej. Podążali za ślepych trendami, wykonując polecenia, wierząc we wszystkie bzdury, które im się wciskało. Byli jak jakieś zwierzątka w zoo, które w swoich klatkach są w pełni szczęśliwe. Daj im tylko coś do jedzenia, zajęcie do wykonywania i będą się głupio uśmiechać, nie rozumiejąc, że mogłyby żyć inaczej. Kryzys zdradził tę warstwę bezmyślnych stworzeń, przywracając im właściwe miejsce w łańcuchu, o którym mówiłem wcześniej. Teraz już wiemy, że te masy mają potencjał do wykonywania dowolnej pracy, jeśli tylko dostrzegą w niej szlachetny cel. Rosjanie to rozumieją i

świetnie wykorzystują. Dla nich człowiek to zwierzę, bydlę jak każde inne, rozumiesz, co mówię? – zapytał z zaskoczenia Aldon, trzymając zarządcę w cieniu własnej sylwetki. Przytłaczał go, jak góra budynki u swego podnóża. Czekał cierpliwie, nie zdradzając intencji i chowając wilcze zapędy pod maską myśliciela-amatora, notując jednak najdrobniejsze drżenie dłoni Erina. Skrupulatnie zliczał przejawy zmęczenia, wypatrywał jego słabości, jak hiena, i szukał odsłoniętej krtani. – Wiesz, co to oznacza? – zadał kolejne pytanie pochylony nad poręczą krzesła, dodatkowo torturując zmysły ofiary intensywnym zapachem barbarzyństwa.

Erin nie odpowiadał, w myślach tocząc walkę nie o słowa, ale o centymetry, które liczył między dłonią a mundurem oficera. Chciałby go chwycić, pociągnąć z całych sił, by nadzieć na niewidzialny promień lasera i razem z nim spłonąć w bólu. Nie zabiłby go, być może nawet specjalnie nie skrzywdził, ale zniszczenie zadbanego uniformu skurwysyna na pewno dałoby mu satysfakcję wartą każdego cierpienia.

– Gdzie jest Stavros?! – ryknął Aldon, ucinając odważne myśli Erina.

– Nie wiem, majorze.

– Podpułkownik – poprawił go officer.

– Przepraszam, nie rozumiem tych zawłości sił wojskowych i...

– Jeszcze jeden taki żart i wytnę cały twój zarząd – zagroził Aldon. – Myślisz, że mi zależy? Myślisz, że kogoś obchodzi, ilu pracowników zginie w tej hali, zanim okręt zostanie ukończony? – pytał, celowo stając na stopie Erina. Deptał ją w nadziei, że ten nieostrożny dotknie dłonią rozżarzonej poręczy krzesła. – Gdzie jest ten gnojek?! – krzyknął.

– Nie wiem gdzie jest Stavros. Nie mam już prawie żadnego kontaktu z zarządcami – tłumaczył Erin, zaciskając zęby. Czuł, jak napięcie mięśni stopniowo przepływa z rąk na barki, zalewając jego umysł dyskomfortem i powoli odkładając się koszmarnym bólem gdzieś z tyłu głowy.

– Czy zabiłeś porucznika Culina? – zapytał spokojnie officer, tracąc zainteresowanie torturą i wracając na czysty, wygodny fotel.

– Nie.

– Czy wiesz coś na temat jego śmierci?

– Nie.

– Czy zachęcałeś pracowników hali do buntu?

– Nie.

– Czy zorganizowałeś ten bunt?

– Nie.

– Czy pomogłeś uciec Stavrosowi? – Aldon skreślał kolejne formalności z listy.

– Nie – Erin powtórzył z grymasem bólu na twarzy. Jego dłonie płonęły wyczerpaniem, sprawiając mu nieopisany koszmar wymuszonej bezczynności. – Nie, nie – powtarzał, by przyspieszyć proces.

– Powolutku, nie jesteśmy w zatoce, żeby tak pędzić – wycedził officer z uśmiechem udanego żartu. – Czy wiesz gdzie on teraz jest?

– Nie wiem, nic nie wiem!

– Rozumiem – stwierdził Aldon, zadowolony z płynnie prowadzonego przesłuchania. – Nic nie szkodzi, bo i tak go złapiemy, zamkniemy w pokoju z komputerem i zmusimy, by poprawił program, o który prosi go Flota.

– Prosi go Flota? – Erin powtórzył słowa, które zadźwięczały mu oburzającym cynizmem.

– Taka jest jego praca. Jakby się zastanović, to i tak lepsza niż setek innych osób, które w halach skleją kable po czternaście godzin dziennie.

– Kazaliście mu napisać program do zabijania żołnierzy, a teraz jeszcze chcecie poprawek?!

– Gdy przyjdzie moment ewakuacji, będziesz wdzięczny, że ZN ma pełną kontrolę nad swoimi żołnierzami – przekonywał go Aldon, wierny Flocie, oddany dowództwu, pewny wygłaszanej prawdy i doskonale wytrenowany w zakłamaniu.

– Przecież tę broń mogą wykorzystać terroryści, wróg, przypadkowe osoby, dziecko z odpowiednim sprzętem, ktokolwiek! – Erin próbował przebić się przez mur ignorancji oficera. – Kto będzie prowadził Flotę, jeśli jakiś błąd w systemie zabije wszystkich dowódców? – zapytał, powoli tracąc wiarę w sukces rozsądku w walce z lojalnością. W końcu zduszonym, ale kąśliwym głosem dodał: – Kto będzie terroryzował ludzi, gdy ciebie wyeliminują?

Powietrze w pokoju zastygło, jakby zmrożone w oczekiwaniu na front burzowy. Cisza zbierała w sobie gniew i nienawiść, osiadając pyłem grozy na mundurze Aldona. Mężczyzna wyrwał się z fotela,

zostawiając za sobą skorupę wyuczonej ogłady, i ze zwierzęcą żądzą krwi dopadł zarządcę. – Żyjesz tylko dlatego, że ci pozwalam, rozumiesz?! – ujął, szczerząc białe, wypolerowane zęby i wbijając pazury w jego kolana.

– A ty żyjesz, bo ci Flota pozwala! – odparował Erin, rozjuszony rwącym nerwy odrętwieniem rąk. – Jak przyjdzie moment ewakuacji i okaże się, że dla takich śmieci jak ty nie ma miejsca we Flocie, to się, kurwa, zeszczasz ze strachu!

– Co powiedziałaś?! – ryknął Aldon, a jego oczy spłynęły łzami opętania. Uzbierany gniew wyładował na twarzy zarządcy, łamiąc mu pięściami nos, zalewając krwią, a potem odskakując na widok miotanego poparzeniami ciała.

Erin rzucał się, jak na krześle elektrycznym, paląc ręce raz laserem, raz rozżarzonym metalem, aż pokój wypełnił się dźwiękami skwierczącego mięsa. Gdy w końcu opanował koszmar, przywracając równowagę dłoni nad poręczami, wybuchnął rubinowym śmiechem szaleńca.

– Muszę obawiać się zła, gdyż jestem zaledwie śmiertelnikiem, a śmiertelni mogą najwyżej umrzeć – powiedział zamroczony.

– Chcesz umrzeć? – zapytał Aldon, oglądając zakrwawione pięści. – Za piętnaście minut umrzesz. Twój pluton egzekucyjny już czeka, a Stavrosa złapię sam i zniszczę. Zrobi to, o co prosi go Flota, a potem zginie, tak jak ty – odgrażał się, spluwając na zarządcę w akcie pogardy, na którą ten odpowiedział tylko histerycznym śmiechem. – Tak ci zabawnie? – zapytał oficer i chwycił dłonie Erina, dociskając je do poręczy. Smród spalenizny wypełnił mu nozdrza, a krzyk starca zaczął współgrać z jękami gładzonych za ścianą robotników hali, gdzie powstawał okręt flagowy Floty, duma Zjednoczonych Narodów, ostrze i tarcza ludzkości SS „Santlite 75”.

Polowanie

– To piękny dzień na polowanie – stwierdził pułkownik Windsel, wychylając się ze śmigłowca krążącego nad miastem. Wchłaniając skórą wiatr, jak myśliwy wyczuwając woń ofiary, zapytał: – W jakim stopniu system pokrywa miasto?

– Tylko czterdzieści siedem procent, panie pułkowniku – odpowiedział siedzący obok niego młody oficer.

– Dobrze, dobrze – powtarzał dowódca wpatrzony w sunące pod nim dachy wieżowców. – W takim razie spuście ze smyczy psy – rozkazał i przez chwilę szczerzył zęby do zmęczonego pracą Chicago. – Złapcie go i przyprowadźcie do mnie – dodał, jeszcze bardziej wyginając się w stronę przepaści, jakby za chwilę miał wyskoczyć i dołączyć do grupy uśpionych w mieście żołnierzy.

Całą akcją miało pokierować oddalone o dziewięćset kilometrów Centrum Dowodzenia DARPA. W schronie pod Nowym Jorkiem stu dwudziestu analityków przechwytywało miliony sygnałów z sieci jeszcze funkcjonujących satelitów, naziemnych systemów śledzenia, wież nawigacyjnych, siatek kontrolnych miasta, transmisji telekomunikacyjnych i programów miejskiego monitoringu mikrodronów. Wszystko, by schwytać Stavrosa Kascadance'a, który pięć godzin wcześniej uciekł z hali produkcyjnej SS „Santlite 75”. Tam zamordował jednego z oficerów ochrony i wywołał bunt wśród pracowników, zwiększając w regionie stopień zagrożenia atakami terrorystycznymi na skali Radiana do poziomu ósmego.

We wschodniej części miasta, w jednej z dawno opuszczonych dzielnic, do misji przygotowywała się jednostka specjalna porucznika Kirka Waneguta, mężczyzny o wyglądzie bezwzględniego łowcy z wygoloną głową, szorstkim zarostem na twarzy i oczach zabójcy przed momentem wypuszczonego z więzienia. Na porzuconej i zdewastowanej szabrowaniem ulicy, przy placu zabaw, gdzie huśtawki i drabinki przypominały salę tortur, jego siedmiu żołnierzy czekało na rozkaz.

– Możemy ruszać, poruczniku – zgłosił jeden z nich, a reszta, jak wybudzone ze snu niedźwiedzie, podniosła zakryte białymi maskami twarze. Wszyscy nosili czarne jednolite mundury, przylegające mocno do ich masywnych, zbrojonych biomechanizmami ciał. Silniejsi, szybsi, zwinniejsi i doskonale chronieni przez pola energetyczne zdolne zatrzymać impulsy z większości broni nie przypominali już ludzi. Noszone przez nich maski – białe, płaskie i doskonale gładkie – usuwały to, co z człowieka w nich zostało, dając w zamian siedem rodzajów obrazu i wirtualną rzeczywistość. Jak zaprogramowane roboty likwidowali wrogów Wielkiego Planu, nie zadając pytań i robiąc to, do czego całe życie byli szkoleni.

– Ma być żywy, więc włączcie tłumienie – rozkazał Wanegut i wraz z innymi ustawił swoją broń.

Były to lekkie kompozytowe karabinki modułowe M-89. Żołnierze określali je mianem „świstaków”, bo przy strzale w trybie snajperskim wydawały świst, jak klasyczna broń palna, choć zamiast kul wytwarzały impuls. Wszystkie egzemplarze sprzężono ze sobą i z centralnym systemem ognia, którym kierował dowódca jednostki wspierany mocą obliczeniową komputerów w głównej bazie sił DARPA oddalanej o dziewięćset kilometrów stąd. W takiej konfiguracji, rozbudowanej o nanotechnologię kojarzenia układu nerwowego z trybem celowniczym, prawdopodobieństwo chybienia spadało do dziewięciu setnych procent przy dystansie do stu metrów, niezależnie od warunków i prędkości celu wielkości przeciętnego człowieka.

– Kontrola ognia – zarządził Wanegut i podniósł broń. Wszyscy z drużyny, jak zintegrowane kopie, odtworzyli jego ruch i bez opóźnienia wycelowali w ten sam punkt na zrujnowanej ścianie budynku po drugiej stronie ulicy. Gdy porucznik odwrócił się i wypalił w huśtawkę na placu, żołnierze zrobili to samo, oddając salwę w sekwencji cztery-cztery, czyli cztery jednoczesne strzały, a po nich kolejne cztery skorygowane, z opóźnieniem o trzy setne sekundy.

– Błąd w granicy normy. Zatwierdzam – odezwał się oficer monitorujący akcję w bazie DARPA pod Nowym Jorkiem.

– Zatwierdzam. Ruszamy – rozkazał Wanegut i zerwał się z miejsca.

Za nim żołnierze rozkwitli formacją, utrzymując ją jak jeden organizm, kończyny tego samego ciała, zintegrowane maszyny. Pędzili z nadludzką prędkością, niczym cienie ptaków opływając przeszkody, pokonując puste ulice w niewzruszonej ciszy.

Chicago, jak większość dużych miast, obumierało na obrzeżach i cierpiało na exodus społeczeństw przesiedlanych w pobliże hal. Tylko centra metropolii wciąż tliły się aktywnością pracowników administracyjnych, którzy zdalnie napędzali maszynę reorganizacji gospodarczej Wielkiego Planu. Poza nimi ulicami przemykali robotnicy fabryk, porostawianych między ruinami dawnych domów mieszkalnych. Wpatrzeni w ziemię maszerowali tam, gdzie wskazywał im harmonogram dnia. Ignorowali toczący się w mieście pościg, ale nie dlatego że przywykli do widoku działań wojennych, ale dlatego że po prostu niczego nie widzieli i nie słyszeli.

Mimo Kryzysu Słonecznego i reformacji gospodarczych projekt Eye Mirage był rozwijany jako główny środek inwigilacji społeczeństwa na potrzeby Wielkiego Planu. Każdy nowo narodzony obywatel przechodził rutynowe badania, podczas których wszczepiano mu mikroskopijny moduł w korę mózgową, zdolny zakłócać i nadpisywać dowolne sygnały z oczu i uszu człowieka. Dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców Ameryki, w tym praktycznie sto procent osób w Chicago, nieświadomie posiadało ten biomechanizm. Dlatego jednostka Waneguta mogła bez przeszkód gnać najruchliwszymi dzielnicami, jak w innym wymiarze, niezauważona przez zamroczonych codziennymi problemami ludzi. Projekt Eye Mirage był tajny, wykorzystywany przez wybrane jednostki wojska i na bezpośredni rozkaz Wiggera Andersa wciąż rozbudowywany.

– Mamy trop, korygujemy trasę – zgłaszał oficer z Centrum Dowodzenia w Nowym Jorku. – Wykryliśmy zaawansowane maskowanie. Zawężam teren – przesyłał kolejne komunikaty zobojętniałym głosem.

– Przyjąłem – odparł Wanegut, jednym skokiem pokonując dwa samochody w ruchu. Pędził już ze średnią prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, prowadzony przez niezwykle zaawansowany program nawigacyjny. Komputer uwzględniał ruch wszystkich ludzi i maszyn w mieście, przewidywał ich kierunek i szybkość, unikał miejsc mogących tworzyć strukturalne pułapki, synchronizował trasy każdego żołnierza w jednostce, wyliczał wszystkie możliwe skróty, ustalając optymalną trajektorię kursu, a także pamiętał o ograniczeniach fizycznych wojskowych, a nawet korygował wskazania o kierunek i siłę wiatru.

– Mam cel – zgłosił jeden z ludzi Waneguta. – Osiemdziesiąt procent.

– Weryfikuję – dodał inny żołnierz. – Prawdopodobieństwo dziewięćdziesiąt procent.

– Potrzebna confirmacja wizualna – zażądał porucznik i podniósł broń, wywołując ten sam ruch u wszystkich w jednostce. – Cel za dwieście dwadzieścia metrów, sto dziewięćdziesiąt, sto pięćdziesiąt – odliczał, a formacja samoistnie rozłożyła się jak wachlarz i każdy biegł teraz w swoją stronę.

– Brak confirmacji. Nie widzę celu.

– Brak confirmacji – zgłaszali po kolei żołnierze. – Mam widmo, namierzam.

– Koryguję położenie – poinformował Wanegut, bez wysiłku wskakując na dach czterometrowego budynku i susami pokonując kolejne barierki. – Używa impulsów duplikujących i próbuje Idosów. Ręcznie odrzucajcie żądania przetworzenia.

– Mam zakłócenia – raportował żołnierz, znikając liderowi z oczu za ścianą wieżowca.

– Atakuje nasze założenia algorytmiczne. System wysła mnie w drugą stronę, ignoruję.

– Czy ktoś widzi cel?

– Brak confirmacji...

– Brak confirmacji...

– Kurwa mać – zaklął pod nosem Wanegut, zatrzymując się w miejscu, które wskazywał mu system. Otoczony przechodniami, jak masą puszczonego w ruch marionetek, skanował wszystkie twarze, ale wiedział już, że celu nie znajdzie. – Centrala, macie go? – zapytał. – Centrala? – wywoływał, ale w uszach słyszał tylko narastający szum. – Kurwa, co wy tam...

– System jest zagrożony. Mam naruszenie protokołów – odpowiedział oficer i uciął komunikację.

– Przegrupuj! – rozkazał drużynie Wanegut i ruszył w stronę ustalonego wcześniej punktu zbiorczego.

– Co jest, kurwa! – krzyknął ktoś na łączu przerywanym szumem.

– Wpiął się nam w system komunikacji!

– Odłączcie mundury!

– Co? – zapytał Wanegut, ale nie usłyszał już odpowiedzi, bo przed oczami wyrosły mu komunikaty ostrzegawcze o próbie włamania. Manewrując między przeszkodami, bezsilnie podziwiał jak dwadzieścia jeden barier, jedna po drugiej, upadały w urzekającej kaskadzie krwistej czerwieni. Po kolei tracił wszystkie funkcje, w tym nawigację, która w czasie rzeczywistym korygowała mu kolejne wektory ruchu. Ślepy i bez wskazań komputera, jak kula armatnia staranował jadące auto, wyrzucając je w powietrze i wbijając w ścianę budynku. Oszołomiony, ale cały, dzięki licznym zbrojeniom w ciele chwycił za mundur na karku i z rykiem wyrwał potężny jego płat, odsłaniając metalowe elementy na plecach.

Wanegut stracił połączenie z siecią i tyranitową baterię, ale ocalił życie. Podniósł się i ruszył truchtem w stronę punktu zbiorczego, niezauważenie przemykając między gapiami plotkującymi o latających autach. Jeden z jego żołnierzy, martwy, leżał na chodniku nieopodal, obok skruszonej ściany, w którą musiał wpaść z rozpędu. Zabił go jednak mundur, a nie uderzenie w betonowy blok. Przechodnie zahaczali o niego, po czym ruszali dalej, prowadzeni silnym impulsem, by zignorować dziwne zjawisko. Młody mężczyzna mimo to zaczął przyglądać się miejscu, jakby było tam coś intrygującego, budzącego ciekawość. Zanim Wanegut do niego dotarł, chłopak leżał już na ziemi nieżywy, powalony zawałem serca wywołanym przez protokół zabezpieczający program Eye Mirage. Porucznik zerwał maskę z twarzy swojego żołnierza i potwierdził śmierć przez porażenie mundurem.

– Kascadance – wysyczał z obietnicą zemsty, a potem zamknął poległemu przyjacielowi oczy, zerknął jeszcze na wykręcone agonią ciało przechodnia i ruszył dalej na spotkanie trzech, pozostałych przy życiu członków jednostki. Wszyscy mieli uszkodzone mundury i nienawiść wymalowaną na twarzach.

– Skurwiel wgrał nam jakiś program niszczący! – krzyczał Granner na krawędzi dachu opuszczonego magazynu. – Kurwa! – ryknął w stronę miasta, gdzie życie sunęło po wyznaczonych Wielkim Planem torach. Był najmłodszy w drużynie, doskonale wyszkolony, inteligentny, ale wciąż porywczy.

– Co z resztą? – zapytał porucznik, dołączając do grupy.

– Widziałem Dumasa – zameldował podporucznik Elkin, druga osoba w łańcuchu dowodzenia. – Nie zdążył odłączyć munduru i dosłownie spłonął. Co z innymi, to nie wiem.

– Nie żyją – poinformowała Hesla, trzymając w dłoni skruszoną maskę. Na jej czole widniała krew, płynąc policzkiem do brody i skapując na spalony, poszarpany mundur. Miała najwyższy stopień cyborgizacji w zespole i najwyraźniej przyjęła atak w pełnym jego wymiarze.

– Inne jednostki? Widzieliście je? – pytał Wanegut.

– Nie, ale wiem, gdzie jest obserwator – powiedział Granner i pokazał palcem słup dymu na horyzoncie, gdzie spadł helikopter pułkownika Windsela. Czarne kłęby, rozdmuchiwane wiosennym wiatrem, skupiły na chwilę uwagę ocalałej czwórki żołnierzy, stając się symbolem ich porażki i pomnikiem poległych towarzyszy.

– A co z Centrum Dowodzenia? – zapytała Hesla, spoglądając na białą maskę z długim pęknięciem podążającym przez sam jej środek. – Ja nie mogłam nawiązać z nimi kontaktu – dodała, gdy dwie krople krwi spadły na porcelanową powierzchnię.

– Ich też wypalił – oznajmił grobowym tonem Elkin, wciąż wpatrzony w czarną chmurę po katastrofie śmigłowca. – Atakujący nas sygnał szedł po łączach od Centrum. Kascadance najpierw zaatakował ich, a potem z pomocą wykradzionych kluczy szyfrujących wypalił nas.

– To dlatego nasze bariery tak szybko padły – stwierdził Wanegut i splunął na ziemię krwią, która aż skwierczała żądzą zemsty.

– Jeśli nas wypalił, to co zrobił z Centrum? – rzuciła Hesla.

– Pewnie wysadził ich w powietrze – Granner dał jej brutalną odpowiedź – a wraz z nimi całe operacyjne dowództwo sił DARPA w Ameryce – dodał, zdradzając więcej, niż chciała. – Kurwa, myślicie, że zostaliśmy tylko my?

– Możliwe – mruknął Wanegut zamyślony.

– Jaki plan? – zapytał go zastępca. – Wycofujemy się?

– Co ty, kurwa – kłął Granner. – Gość zajeżdżał naszych, a ty chcesz iść do domu?

– Zamknij się – szczechnął na chłopaka porucznik. – Zrobimy tak – zaczął mówić, szukając w oczach towarzyszy chęci do działania. – Cała przewaga Kascadance’a tkwi w sieci, więc najpierw ją zabierzemy. Jeśli ktoś w dowództwie zdążył pomyśleć, to satelity zostały odcięte, więc dostępne są jedynie połączenia naziemne. Z tego, co pamiętam, w Chicago jest tylko jeden hub.

– O ile gość jest jeszcze w mieście – Granner podważał słowa dowódcy.

– Jest. Wszelki transport z miasta i do miasta został odcięty, zanim weszliśmy. Kascadance to programista. Nie zna się na przetrwaniu, nie będzie wiedział, jak się wydostać z Chicago, więc pewnie siedzi tam, gdzie czuje się bezpieczny – porucznik budował dalej plan.

– To jego oczywista słabość – stwierdził Elkin – o której pewnie sam wie.

– Nie mamy już połączenia z siecią, a poza tym dla niego jesteśmy trupami – zauważyła Hesla, zachęcając resztę. – Złapmy gnojka.

– Złapmy skurwysyna – Granner przyłączył się do tego apelu.

– W takim razie koniec dyskusji. Ruszamy do Evanston – rozkazał Wanegut i pierwszy zeskoczył z dachu, prowadząc drużynę w klasycznej formacji, przyjmowanej w razie utraty połączenia z Centrum Dowodzenia.

Pułapka

– Sami tego chcieli – zasyczał z nienawiścią Stavros. Stał przed interaktywną ścianą w kryjówce swojego jedyne go przyjaciela w mieście, którego poznał dwa lata temu przy okazji konferencji nad oprogramowaniem inteligentnego oświetlenia dla Floty. – Kazali mi stworzyć tego wirusa, to go stworzyłem i nawet przetestowałem. Może teraz rozumieją, że to był błąd – przeklinał wrogie siły, wpatrzony w komunikat o utracie połączenia z Centrum Dowodzenia DARPA w Nowym Jorku.

– Wątpię, żeby byli ci wdzięczni za sparaliżowanie ich całej komunikacji i zabicie kilkuset oficerów – stwierdził Kaleb, dwudziestopięcioletni programista, w progu pokoju dawno opuszczonego domu.

– Sami tego chcieli – powtórzył wcześniejszą myśl Stavros, a potem krótką komendą, wydaną zmęczonym gestem, posegregował logi z przejętych wojskowych mundurów. Ułożył je jak dziecko kolorami w dwie grupy, tych potwierdzających śmierć żołnierzy i tych informujących o utracie połączenia. Pusto wpatrzony w okrutne arcydzieło gonił wzrokiem w przyszłość, gdzie duma z posiadanych umiejętności, podświadomym mrowieniem, była przekuwana w jego zgubę rękami popleczników Wielkiego Planu. Bał się ich, ale mając nad nimi przewagę, jeśli tylko zachowa ostrożność, zdoła zniszczyć wroga i może przy okazji zbawi świat. – Myślisz, że teraz odpuszczą? – zapytał, nie oczekując innej niż tej oczywistej odpowiedzi.

– Wręcz przeciwnie, teraz kiedy wiedzą, jak efektywny może być ten wirus, będą chcieli go jeszcze bardziej – stwierdził Kaleb, tkwiąc przy framudze drzwi pokoju. – Oni nigdy nie dadzą za wygraną, znasz ich przecież. To psychopaci, a ja mówiłem ci, jaką mam teorię...

– Nie lubię teorii spiskowych.

– No wiem, wiem, ale to prawda! – przekonywał chłopak, stojąc nadal za progiem pomieszczenia, w którym podłoga przypominała wysypisko. Ubrania, sprzęt, śmieci, torby, przypadkowe książki, a nawet brudne sztucce leżały na podłodze, raz rzucone i zapomniane, jakby po dotknięciu gołego betonu stawały się niewidoczne. To tu, w domach opuszczonych przez bogatsze warstwy społeczne, Kaleb prowadził zabroniony handel ekskluzywnymi towarami. – Oni mają oczywiste intencje. Pełna bezwarunkowa władza nad ludzkością to ich cel – powiedział, odgarniając długie blond włosy z oczu. – Oni wykorzystają każdą sytuację, nawet koniec świata, żeby posunąć do przodu swój plan. Mając pełną kontrolę nad Flotą i ludzkość zmniejszoną do paru milionów, będą mogli odbudować świat gdzie zechcą i w takiej formie, która uniemożliwi jakikolwiek bunt, protesty czy nawet niepoprawną myśl – opowiadał z nieopanowanym, nerwowym gestem dotykania wiecznie zasłaniających mu twarz włosów.

Wszyscy jego bliscy dawno temu wyjechali do pracy w halach lub zaciągnęli się do wojska, on został sam na sam z poglądami rewolucyjnymi, których nigdy w życiu by nie zrealizował. – Jak już osadzą ludzi na jakiejś nowej planecie, to zbudują sobie idealną społeczność niewolników, dla siebie idealną oczywiście, w pełni kontrolowaną i oddaną. To będzie utopia dyktatorów! Zobaczysz! – zapewniał z palcem wycelowanym w stronę swojego gościa.

W głowie Stavrosa zatliły się obrazy cywilizacyjnego ogrodu zoologicznego, gdzie każdy ma swoją klatkę i zadanie, by utrzymywać władców żyjących na koszt ludzi. Przeszył go dreszcz i poczucie pogardy do wszystkiego, czym Wielki Plan był, ale to nie władza go przerażała – tę traktował jak grupę bystrych psychopatów. To zwykłych, normalnych ludzi nienawidził. Gardził ich uległością, poddaństwem, słabością, cechami tak pospolitymi, że widział je nawet w oczach Kaleba. Ledwo go znał, spotkali się kilka razy na konferencjach normalizacji oprogramowania i trochę czatowali przez sieć, ale już zdążył wyczuć w nim te haniebne aspekty, ukrywane pod maską buntownika i biernego obserwatora. Handel wykopanymi z gruzów urządzeniami był dla chłopaka szczytem rewolucji, a pomoc Stavrosowi w realnej walce z żołnierzami sił DARPA nie leżała w granicy jego odwagi, najwyraźniej fizycznie wyznaczonej progiem pokoju, do którego wciąż bał się wejść.

– To jaki masz plan? – zapytał Kaleb.

– Uciekam do Europy, do Xanadu. Już wiem, gdzie jest. Muszę tylko wyczyścić swoje dane z hali, a potem jakoś pokonać ocean.

– Najpierw musisz wyrwać się z miasta.

– To akurat żaden problem. Zamroziłem im wszystkie operacje, więc mam czas – mówił Stavros, masując skronie opuszkami palców i sycząc z bólu. – Łeb mi pęka. Masz jakieś proszki? – zapytał, spoglądając na Kaleba na w pół otwartym okiem.

– Nie bardzo, chyba że chcesz jakieś DPP.

– No co ty, narkotyki chcesz mi dawać?

– Nie mam nic innego. Ty, ale poważnie do Xanadu chcesz uciekać? A to nie legenda jest?

– Nie – jęknął Stavros. – Kurwa, zaraz padnę.

– Chcesz wody? – niemrawo zaproponował Kaleb i prawie wszedł do pokoju.

– Nie chcę.

– Może wódki? – chłopak rozpaczliwie szukał rozwiązania. – Mam tego sporo, bo akurat wpadł mi klient na te sto powłok tyranitowych, o których ci pisałem...

– Wódka? – zdziwił się Stavros. – Dobra, nieważne. Już mi przechodzi – rzekł, zamrożony w jednej pozycji, by ruchem dodatkowo nie pogarszać tortur. – Ostatnio mnie jakieś migreny atakują. Pewnie przez tę jebaną halę i chemikalia z jeziora.

– Jesteś pewny, że żołnierze nie namierzili połączenia? – zapytał Kaleb z zaniepokojeniem, którego nie zdołał zamaskować w głosie.

– Spokojnie, Centrum Dowodzenia wypaliłem i wysadziłem, a większość żołnierzy nie żyje – relacjonował Stavros, powoli rozluźniając mięśnie i prostując plecy. Z dłonią na karku, kręcił szyją, przeganiając ból i odzyskując przejrzystość myśli. – O, odcięli sieć – zauważył i gestem ręki wyświetlił status łącza, szczerząc do ściany zęby. – Frajerzy.

– Nie ma netu? To chyba niedobrze?

– To bardzo dobrze – stwierdził Stavros. – Nie potrafili mnie namierzyć, więc ucięli dostęp do sieci w całym mieście i pewnie teraz czekają przy hubie. Debile.

– A chcesz tam iść? – zadawał kolejne pytania Kaleb, przerażony konsekwencjami, jakie poniósłby, gdyby wyszło na jaw, że pomaga terroryście. Dotychczas jego rebelia nie wykraczała poza obręb drobnego handlu, na który wszyscy przymykali oko, jeśli tylko nie istniały żadne powiązania z organizacjami przestępczymi. Teraz to się mogło zmienić.

– Muszę, bo potrzebuję dostępu do sieci – wyjaśnił Stavros. – Jeśli jeszcze dziś nie wykasuję swoich danych z hali, to DARPA powieli je, jak tylko postawią serwery na nogi, a wtedy znacznie trudniej będzie mi się zaszyć. Poza tym żołnierze nie odpuszczą mi tak łatwo, a skoro sami zebrali się w jednym miejscu, to czemu mam nie skorzystać z okazji? – zapytał ze spojrzeniem sadysty gotowego na kolejną zbrodnię. – Masz jakąś miejscówkę, gdzie będę mógł się podpiąć?

– No jest jedna pod ziemią, w kanałach – zdradzał Kaleb szczęśliwy, że może pomóc koledze i tym samym przyspieszyć jego wyjście z budynku. Podskokami, jakby beton parzył go przez czerwone tenisówki, doskoczył do interaktywnej ściany, manewrując między wywróconym krzesłem a stertą zgniętych ciuchów. Zamaszystym ruchem wyświetlił mapę miasta i narysował na niej wskazówki, zakreślając palcem wybrane miejsce. – Zejdiesz tym włazem i jak będziesz się trzymać prawej strony, to z daleka zobaczysz port bezpieczeństwa starego typu. Mam tam już nawet wpinki – opowiadał, nagle blednąc na myśl o torturach, które czekają go, gdy żołnierze odkryją, że pomagał terroryście skorzystać z głównego huba w mieście. – Ty, ale może lepiej nie rób tego, to znaczy weź nie korzystaj z moich wpinek, dobra? – poprosił niemal ze łzami w oczach.

– Spoko, jak z nimi skończę, to nie będzie już nikogo, kto mógłby cię ścigać – oświadczył Stavros z impertynentną pewnością. Chwytał gestem zamykanej dłoni informacje ze ściany i ruszył do drzwi, gotowy walczyć ze wszystkimi siłami DARPA i Floty naraz. – Posprzątałbyś tu – poradził, potykając się o jakieś plastikowe pudła. – Co to? – zapytał, trafiony błyskiem srebrnej na ziemi obrączki.

– Co? – jęknął Kaleb, powoli odbudowując odwagę, jak serwer stabilność po restarcie. – Nie wiem, jakiś śmieć pewnie. Jak chcesz, to sobie weź – zaproponował, gotowy nawet oddać mu cały zapas wódki, żeby tylko już wyrzucić intruza.

– A wezmę, bo ładne. Dam jakiejś dziewczynie, jak tylko dotrę do Europy – zażartował Stavros, schował pierścioneł do kieszeni i niebałym krokiem wyszedł, ku uciesze Kaleba, który pognał za nim gotowy ciałem blokować drogę, gdyby ten chciał jeszcze zawrócić. Tak pokonali wąski korytarz, od którego ścian odpadały okruchy farby, i zeszli starymi schodami wprost na porysowane metalowym ostrzem drzwi.

– Nie boisz się ich siatek szpiegowskich? – zapytał chłopak.

– Oni nie mają już siatek szpiegowskich, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą – pochwalil się Stavros, depcząc porozrzucane szmaty. – Poza tym strąciłem ich drony w promieniu trzystu kilometrów, więc są ślepi jak szczeniaki po urodzeniu. Zanim ogarną ten bajzel, będę już w Europie – dodał i stanął przy progu wyjścia, czując na plecach oddech Kaleba. – Słuchaj – powiedział, chwytając go za skostniałe strachem ramię. – Dzięki. Bez ciebie nie dałbym rady. Odwdzięczę się kiedyś – złożył mu pustą obietnicę, która chłopakowi zabrzmiała jak groźba.

– Okay, nie ma problemu.

– Pora na mnie – stwierdził Stavros i spojrzął na ulicę, jak na pole minowe pełne pułapek. Odważnie ruszył przed siebie, mówiąc na głos: – Jestem jak jaskółka, która pierwsza spogląda na horyzont, wyczuwając zbliżającą się burzę. – Zapiął pod samą szyję biały kombinezon, bo hala odzwyczaiła go od wiatru, i włożył ręce do kieszeni, by imitować znudzenie innych przechodniów. W robotniczych skafandrach ciągnęli sznurami do pracy lub z powrotem, tworząc jednolicie czerwone, niebieskie lub żółte łańcuchy smutnych figur równo wtłoczonych w układankę Wielkiego Planu.

Choć Stavros szedł z nimi, to parł, jakby pod prąd z głową wyniesioną ponad pułap bezsilności, akompaniując sobie dźwiękami Wojennego Requiem. Jego odtworzenie umożliwiła mu technologia sterowania myślami. Maszerując w rytm orkiestry, sunął wzrokiem po dachach budynków i wyobrażał sobie, że to nierówne ostrza współczesnego świata, wymierzone w słabość cywilizacji człowieka. Te szpice cięży miasta na grupy i kasty, jak kawałki tortu, pożerane przez niewidzialne siły Wielkiego Planu. Za krawędzią tej gilotyny Stavros dostrzegł dym rozbitego śmigłowca i zapłonął wspomnieniem tragedii z dzieciństwa. Kaskady obrazów przeskakiwały mu przed oczami, a każdy slajd był złożony z uczuć ostrych jak przyprawy i ulotnych niczym wiara w dobre intencje władz. Obciążony niechcianym echem katastrofy, w której zginęli jego rodzice, układał w myślach plan, odznaczając sukcesy i notując niebezpieczeństwa na wirtualnej tablicy zadań do wykonania.

Usunął już wszystkie krytyczne o sobie pliki z Centrum Dowodzenia DARPA, głównej serwerowni w Oklahomie i dwunastu zapasowych rozrzuconych po Ameryce. Do całkowitego wyczyszczenia swojej historii brakowało mu tylko dostępu do komputerów hali, gdzie powstawał „Santlite 75”. Schowane pod ziemią, odcięte od sieci, skrywały ostatnie ważne o nim informacje i były jak nóż przyłożony do szyi. Teraz, kiedy znajdował się bezpiecznie na zewnątrz, mógł je doszczętnie zniszczyć za pomocą stacjonujących wokół miasta wyrzutni rakiet penetracyjnych, nad którymi przejął kontrolę, zanim wysadził w powietrze Centrum Dowodzenia DARPA w Nowym Jorku.

Z taką władzą w rękach mógł zniszczyć wszystko i wszystkich, gdyby tylko chciał, dlatego teraz dumnie stawiał kroki z wypiętą pierśią, jakby wisiał na niej order odwagi. Szedł w stronę Evanston z nadzieją, że zrównanie hali z ziemią pozwoli mu zaspokoić głód zemsty przed przejściem na zasłużoną emeryturę. Okiem przybysza z cywilizowanego świata, turyści w zacofanym mieście, obserwował, niczym w zoo, codzienne zmagania ludzi zniewolonych marzeniem o budowie własnej kosmicznej klatki, lecz ślepych na zagładę miasta, które dwadzieścia lat po wdrożeniu Wielkiego Planu gniło razem z nimi.

Centrum Chicago przypominało zapętlone przedstawienie, improwizację życia, wieczną próbę generalną, maskaradę pod lufą karabinów i show, w którym publika uczyła się kłamstw jak prawdy, sensu na opak, odwróconej logiki, a wszystko to, by Wielki Plan wciąż odurzał wymarzoną wielkością tak, jak pierwszego dnia. Obdarte z godności, zrujnowane, szczerbate budynki lśniły przykładem gospodarności. Pozamykane muzea, teatry, kina były pomnikami ofiar ludzkości. Tę architektoniczną katastrofę przyozdabiały wszechobecne ekrany z raportami o stanie Floty – pełne wielkich liczb, zasypane procentami, zdobione niezliczonymi zerami, a jednak szare, statyczne, mijane przez ludzi tak samo, jak ruiny, czarne parki i puste place. Na ulicach nikt się nie wyróżniał ani osobowością, ani zachowaniem, ani nawet krokiem. Tylko kombinezony szyte masowo na jeden wzór zdradzały kolorami, że ta smutna ludzka masa jest w ruchu, płynnie płynąc, bez słów i śmiechu, jak ławica ryb dążąc do końca dnia, pożegnania Ziemi, upadku ludzkości, opaski na oczach, strzału w głowę i wymarzonej śmierci.

Ta pożoga cywilizacji i agonia mas irytowały Stavrosa. Z ulgą więc wskoczył do kanału pod zrujnowanym miastem, wołąc jego smród niż towarzystwo wypranych z odwagi ludzi. Zapach, jak wrota czasu, zabrał go do domu ciotki, gdzie spędził kilka tygodni po śmierci rodziców i już trzeciego dnia nabroił, odwracając bieg kanalizacji. Miał to być odwet za to, że kobieta zniszczyła jego model Tokyo-3. Tak jak wtedy, tak teraz uśmiechał się szyderczo, niesiony pychą nad gnojem i rozkojarzony przeblyskami wspomnień. Wśród nich, niczym rysa na idealnie gładkim materiale, drażniły go obrazy siostry. Przeganiane, zawsze wracały, przynosząc ze sobą poczucie winy splątane w kłębku przyczynowo-skutkowym z oskarżeniem zdrady. Nie mógł wybaczyć Sesanie tego, że go porzuciła, zostawiła, nie zabrała ze sobą, gdy zniknęła tak nagle i bez porządnego pożegnania. Jednocześnie pamiętał, że sam nie chciał z nią lecieć, rzucając kilka ostrych słów tuż przed ich rozstaniem.

Idąc wzdłuż ściany kanału, raz napinał nerwowo policzki, raz wypuszczał z płuc śmiech, uruchamiając przypadkiem w głowie galerię pamiątkowych zdjęć. Wyrzucone myślową komendą fotografie rodziców, Sesany i wspólnej na dworze zabawy zmroziły mu stawy, zatrzymując na chwilę w miejscu. Już zapomniiał, że zapisał te obrazy w swoim implancie, który wciąż był niedopracowany, nieokiełznany i czasami sam reagował na silne emocje. Zanim Stavros zmasował z twarzy ludzkie grymasy i wyłączył galerię, przyjrzał się dokładnie fotografii, na której w wieku kilku lat walczył z siostrą o jej żółty kocyk w czarno-białe kotki. Wtedy wygrał tę szarpaninę, ale teraz już wiedział, że to nie dzięki własnej sile. Ostatnim uśmiechem pożegnał Sesanę i zastąpił jej falujące do ramion włosy mapą kanałów.

Był już blisko celu. Na prawej ścianie, wzdłuż wiszących luźno kabli, których nikt od 2112 roku nie modernizował, stał zardzewiały panel kontroli przepięć z portalami starego typu. Stavros wyciągnął dawno nieużywane łącze z rękawa i z przyjemnością wpiął je w urządzenie, delektując się od dzieciństwa niesłyszczanym, jakże satysfakcjonującym kliknięciem. Materiał kombinezonu na jego przedramieniu natychmiast rozbłysł roztańczonymi kręgami kolorów. Wygenerowane mikroskopijne znaki w długich łańcuchach Stavros pochłaniał wzrokiem, jak czytelnikiem, zwracając myślami kolejne komendy.

– Skurwysyny – przeklął. – Uprzedzili mnie – powiedział i zamilkł, wstrzymując oddech, bo nad głową usłyszał ciężkie tąpnięcia, które kojarzył i doskonale pamiętał. To biegli po niego żołnierze w przydziałowych butach z grubej sztucznej skóry doskonale nadającej się do kopania pracowników.

Weszli już do tunelu, bo echo lądowania w wodzie ważące prawie dwieście czterdzieści kilogramów cyborga, niczym wycie wilka rozpoczynającego polowanie, już do niego dotarło.

– No to już po was, śmiecie – Stavros rzucił wyzwanie w otchłań kanału, a potem ruszył do najbliższego wyjścia, spacerując jak na szkolnej wycieczce. Dopiero przy drabince, gdy oburącz chciał ją chwycić, zauważył, że zdążył już obgryźć do krwi wszystkie paznokcie prawej dłoni. Wtedy, jak przebudzony ze snu, usłyszał dudnienie swojego serca, które przeraziło go bardziej niż dźwięki nadbiegających żołnierzy. Strach w niczym mu jednak nie mógł już pomóc, więc uruchomił swój najcenniejszy program i wspiął się do wyjścia, wypychając głaz przezutymi do mięsa palcami.

– Mam cię, gnoju! – ryknął zwycięsko Wanegut i chwycił Stavrosa jedną ręką za mundur, wrywając go z kanału, jak chwast. Gdy nasycił oczy pięknym widokiem schwytej zwierzyny, rzucił nim o ziemię i wycelował broń prosto w jego twarz.

– Macie rozkaz mnie zabić czy tylko schwytać? – zapytał Stavros, dłonią zasłaniając oczy przed promieniami. Uśmiechał się głupio, trochę ze strachu, trochę z oślepienia, ale przede wszystkim z pogardy, jaką darzył swoich oprawców.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedział porucznik i zmasał mu szyderstwo z twarzy twardą kolbą karabinu.

Stavros upadł na plecy i zabulgotał krwią, a potem kaszłąc gęstą mazią, odwrócił się na bok i wypluł dwa zęby wprost na swoją dłoń. – Kulwa – powiedział, próbując językiem wy badać zakres strat. – Moje zęby! – krzyknął i z obrzydzeniem odrzucił dwie małe, zbędne już kości. Wrócił do leżenia na plecach, by wygodnie spocząć w ciepłych wiosennych promieniach słonecznych, które nagle zaczęły sprawiać mu ogromną przyjemność. Nie wstawał. Nie chciał dawać żołnierzom powodu do kolejnego uderzenia, zwłaszcza że jego program był załadowany w czterdziestu procentach. Potrzebował kupić jeszcze trochę czasu. – Naprawdę chcecie, bym dokończył pracę nad tym wirusem? – głośno zastanawiał się, polykając gorzką krew.

– Jakim wirusem? – zapytał podporucznik Elkin, wyrastając nad głową powalonego programisty.

– Nie wiecie? No pewnie, że nie wiecie – Stavros bełkotał zza dłoni, która służyła mu jako tymczasowy opatrunek. Wciąż oszołomiony uderzeniem, próbował się podnieść, ale szybko dał za wygraną, obezwładniony nagłą sztywnością ciała. – Nic wam nie mówią, bo jeszcze byście zorganizowali jakiś bunt.

– Nawet nie wiesz jak bardzo mam teraz ochotę zbuntować się przeciw rozkazom – groził Wanegut, zawieszony z karabinem nad człowiekiem, który zabił dziesiątki jego kolegów.

– Okay, rozumiem, spokojnie – dukał Stavros i zakrwawioną ręką zasłaniał czarną otchłań lufy. – Myślicie, że zamordowałem waszych żołnierzy, ale to nie ja – tłumaczył, odpływając na chwilę myślami na odległe plaże Europy. Tam kwitło tajemnicze miasto Xanadu, gdzie mógłby beczynnienie się opalać.

– To kto?! – ryknął Wanegut, wrywając go odorem stęchłego oddechu z podróży za ocean.

– Co?

– Kurwa – zaklął porucznik i chwycił mamroczonego Stavrosa za spryskany krwią kombinezon. – Mówiłeś coś o wirusie – przypominał – i o naszych żołnierzach, których zamordowałeś – dodał, pokazując kły, jakby się nimi chwalił. – Mów, bo zaraz wyrwę ci język i już nic nigdy nie powiesz.

– No tak, wirus, już pamiętam – związał wątki Stavros, odpowiadając mu czerwonym, szczerbatym uśmiechem. – Dostałem zadanie stworzenia wirusa, który ma was wszystkich wybić. Dziś mieliście próbkę tego, co potrafi – zdradzał im tajemnicę, wracając do rzeczywistości. Jego program był aktywowany już w sześćdziesięciu siedmiu procentach. – Ja go tylko stworzyłem, bo mnie zmusili, ale MRRG chce wykorzystać go do kontrolowania Floty i was – przyznał otwarcie, usilnie próbując nie ubierać słów w szyderstwo.

Wanegut puścił go i zrobił krok w tył. Z ciszy mógł wyczytać wątpliwości swoich towarzyszy.

– Po co? – zapytała Hesla nachylona nad obitym ciałem programisty.

– Głupie pytanie – odparł Stavros i machnął dłonią, by odgonić żołnierza. – Zasłaniasz mi światło. Możesz? – poprosił i grzecznie czekał, aż kobieta się przesunie. – Dziękuję. No więc, MRRG chce mieć nad wami pełną kontrolę – zdradzał, kaszłąc co chwilę krwią na boki. – Oni albo raczej on chce zbudować idealną dla siebie utopię, w której będzie miał absolutną niezbywalną władzę. Mając ten program, będzie kontrolował Flotę, a Flota będzie kontrolowała ludzi. Innymi słowy, jesteście psami Andersa. Uśpi was, gdy tylko szczekniecie nie w tę stronę – znów z nich sztywnienie udanym porównaniem, dławiąc się przy tym histerycznym śmiechem. Rozgrzany w Słońcu szaleństwem,

odkaszlnął, prawie wypluwając płuca, a potem z wysiłkiem, ociężale, podniósł plecy, by usiąść na ziemi. Opuścił bezwiednie głowę i cicho charczał krwią z ust.

– Dobra, całą historię opowiesz w hali podpułkownikowi Aldonowi. Wstawaj! – rozkazał Wanegut, chwytając jego wychudzone ramię.

– Wasi dowódcy chcą was zabić, a wy jak pieski wykonujecie ich rozkazy?! – wykrzyczał Stavros, szarpiąc wściekle całym ciałem. – Nawet tego nie zauważyliście! Świat umiera! Ludzie budują Flotę, która będzie tylko dla wybranych! Nie dla was! Nie dla mnie! A wy dalej bawicie się w armię?! – ryczał, niemal płacząc i szczerkając w twarz zdezorientowanym żołnierzom. – Nic nie rozumiecie! Paru skurwysynów przejęło kontrolę nad Planem i próbują zbudować idealny świat dla siebie, a wy, jak te pieski, skaczecie dookoła, licząc na kolejny kąsek z pańskiego stołu!

– Zamknij ryj! – ryknął Wanegut, a gdy poczuł zmieszaną z krwią ślinę na twarzy, odepchnął szalonego programistę, wymierzył mu karabinem w pierś i wystrzelił, choć nie wypalił. – Co jest?!

– Jesteście idiotami – ze spokojem stwierdził Stavros, gdy po kolei każdy z żołnierzy próbował go bezskutecznie obezwładnić bronią. – Właśnie dlatego teraz zginiecie – dodał i zniknął.

– Gdzie on jest?! – zawył Wanegut, kręcąc się jak karuzela w poszukiwaniu mężczyzny, który przed nimi stał, a teraz przysł niczym bańka mydlana, pozostawiając po sobie tylko nieprzyjemny ból głowy. – Gdzie on jest?! Widzicie go?!

– Co się, kurwa, dzieje?! – krzyknął Elkin i dołączył do żywiołowego tańca towarzyszy, wymachując bezradnie bronią i szukając celu. – Zhakował nam oczy?!

– Ale jak, jesteśmy offline! – przypomniała Hesla.

– Offline jest tylko sieć globalna – uprzejmie wyjaśniał Stavros, włamując się do systemu Eye Mirage. – Wy też macie implanty w mózgach, żebyście przypadkiem nie zobaczyli tego, czego wasi właściciele nie chcą ujawnić. Moduły Eye Mirage potrafią działać offline i zawsze są włączone – opowiadał głosem, który dla żołnierzy wydobywał się z ich własnych głów.

– Zabrałeś nam wzrok, skurwielu! – jak powalony niedźwiedź zaryczał Wanegut, łapami miotając na wszystkie strony.

– Jesteście idiotami – Stavros powtórzył, co o nich myśli. – Koniec świata jest bliski, a was interesuje tylko misja, która wcześniej czy później zaprowadzi was do piachu. W zasadzie to już teraz – stwierdził i wypełnił wokół nich przestrzeń sadystycznym śmiechem. – Wiecie, że mogę rozgrzać wasze implanty do temperatury dwustu dziesięciu stopni? Jak myślicie, co stanie się z waszymi mózgami? – pytał, klucząc między rozszalałymi żołnierzami. – Mogę wam powiedzieć. Ugotują się, jak jajka na twardo – powiedział i upadł na ziemię nieprzytomny.

– Wyglądacie jak dzieci we mgle – chorąży Kasel Duistro skomentował zachowanie towarzyszy, zatrzymując się przed ich grupą.

– Gdzie on jest?! – wciąż ryczał Wanegut. – Pokaż mi go, a zarznę gnojka!

– Nie trzeba, już jest obezwładniony.

– Widzisz go?

– Leży dwa metry przed panem – ze spokojem odparł dowódca drugiej jednostki, pokazując palcem puste dla porucznika miejsce.

– Nie wypalił was? – zapytała Hesla i jako pierwsza opuściła broń, przyznając się do porażki.

– Nie. Pułkownik Windsel przewidział taką sytuację, dlatego kazał nam, jako jedynym, działać w trybie całkowicie autonomicznym. Mieliśmy obserwować ruchy innych jednostek – tłumaczył chorąży monotonnym, znudzonym głosem, jak gdyby była to dla niego tylko kolejna, typowa misja.

– Pułkownik żyje? – zapytał Wanegut.

– Nie żyje. Rozbił się dziewięćdziesiąt minut temu.

– Rozumiem. Zginął, ale uratował nam życie – przyznał Wanegut i podszedł do miejsca, gdzie rzekomo leżało ciało Stavrosa. Przez chwilę stał wpatrzony w ziemię, wierząc w niej dziurę wzrokiem i płonąć pragnieniem, by skopać gnojka, ale ostatecznie zrezygnował, bo nie chciał skończyć, jak ten zbyt ciekawski przechodzień.